

JESZCZE O WYSTAWIE „JESTEŚMY”

PIOTR DMOCHOWSKI

Sztuka 1-6/92

W nr 8/9 SZTUKI, który dotarł do mnie z wielomiesięcznym opóźnieniem, ukazał się artykuł pana Jarosława M. Daszkiewicza zatytułowany „Cztery światy strony” krytykujący wystawę „Jesteśmy” zorganizowaną przez panie Elżbietę Dzikowską i Wiesławę Wierchowską w warszawskiej „Zachęcie”. Będąc akurat w kraju, kiedy ta wystawa miała miejsce, zwidziłem ją. Mogę więc dzisiaj powiedzieć ze znajomością rzeczy, co o niej myśle. A chcę to powiedzieć, ponieważ z panem Daszkiewiczem nie zgadzam się, czego chciałbym niniejszym dać publicznie wyraz. Autor artykułu zdaje się robić zarzut organizatorce wystawy, iż wybrały dla niej zły tytuł (a) i że pokazując ją obnażyły mimowolnie marną jakość polskich artystów żyjących za granicą (b).

a) Co do wyboru tytułu wystawy „Jesteśmy”, należy przypuszczać, że wynikał on z pewnego założenia ideologicznego organizatorek. W chwili gdy powstał jej projekt, tytuł „Jesteśmy” miał chyba być manifestacją prężności polskiej emigracji artystycznej w sytuacji, gdy ówczesna władza polityczna w Polsce, która niejednokrotnie przyczyniła się do wyjazdu owych artystów z kraju, ucieszona byłaby z tego, iż im się tam nie powiodło. Wydaje mi się więc, że tytuł wystawy miał wtedy znaczyć: „a właśnie, na przekór wam, nadal JESTEŚMY”. Gdy wreszcie doszło do wystawy, tytuł ów nabrał mimowolnie innego znaczenia, bo nie było ani przed kim ani przeciw komu manifestować. O jakie „Jesteśmy” emigracji artystycznej polskiej mogło więc jeszcze chodzić w 1991 roku, po upadku komunizmu? Sam, choć nie artysta, lecz tylko promotor polskiej sztuki za granicą widzę owo „Jesteśmy” jako pewnego rodzaju dokument w którym w pełni, na równo z artystami obecnymi na wystawie się odnajduje.

Po pierwsze, odnajduje się w nim, ponieważ ponad deklaracje wolę demonstrację. Otóż, powtarzam, z tego punktu widzenia wystawa „Jesteśmy” była materialnym dokumentem pozwalającym, ponad słowa i oceny zobaczyć z krwi i kości, dotknąć palcem i namacalnie odczuć kto jest kim, kto jest gdzie, i jak ze sztuką Polaków na świecie naprawdę jest. „Jesteśmy” w tym znaczeniu stało się ważnym przyczynkiem historiozoficznym, bo pokazany dokument był duży, przekrojowy, przedstawiony w sposób przejrzysty i wyczerpujący. Należałoby tylko życzyć sobie, żeby ktoś zadał sobie trud przedstawienia drugiej części owego dokumentu, to znaczy dla pokazania również przekrojowego, również profesjonalnego, rzetelnego i całościowego, twórczości polskich artystów w kraju. Chociażby po to, by móc poczynić porównania.

Po drugie, odnajduje się w tym nowym, mniej znany, mniej programowym, tytule po „Jesteśmy”, nie opatrzone żadnym przymiotnikiem pozwala każdemu dopowiedzieć sobie resztę. A ja, odpowiadam sobie tak: jesteśmy tacy sami jak inni. Ani lepsi artyści ani gorsi niż ci, wystawiani w Centrum Pompidou czy Gug-

enheim Museum. Mamy tyle samo talentu co Amerykanie, eskimosi, Marokańczycy czy Francuzi. Talent i zdrowy rozsądek są rzeczami najbardziej równomiernie rozłożonymi na świecie - powiedział Talleyrand.

b) Talent, tak, ale nie sława. I tu dochodzę do drugiego zarzutu, jaki pan Daszkiewicz robi organizatorce wystawy: że nie było wśród pokazanych artystów wielkich sław, że wręcz odwrotnie, obnażyła ona anonimowość i trzeciorzędność polskich twórców na świecie.

Wydaje mi się, że w tej kwestii pan Daszkiewicz myli dwa pojęcia: „wielkość” artysty i jego „talent”. Od kilku lat, wraz z żoną staramy się uczynić na Zachodzie „wielkimi” kilku polskich artystów, których talent o niebo przewyższa lokalne sławy. Wiemy więc, co nieco, dlaczego jest tak mało, mimo ich czasem ogromnego talentu, polskich „sławnych” artystów na Zachodzie.

Ktoś, kto choć trochę próbował tu promować polską sztukę wie, że przyczyny w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu lat były co najmniej dwie i że żadna z nich nie miała wspólnego z brakiem wybitnych indywidualności wśród polskich twórców-emigrantów. Te dwie przyczyny to: po pierwsze, ubóstwo materialne owych artystów i polskiej diaspory (1), połączone z brakiem pomocy ze strony społeczeństw zachodnich, spośród których przyszło im żyć (2).

1) W indywidualistycznym społeczeństwie zachodnim, na to by „wypluć”, w pierwszym rzędzie trzeba liczyć na siebie i na swoich. Z tego punktu widzenia zasadniczą przyczyną małego wpływu rozsianych po zachodnim świecie artystów polskich było ubóstwo środków materialnych, jakimi dysponowali oni sami i ubóstwo środków jakimi dysponowała, mogąca ich ewentualnie poprzeć Polonia zagraniczna. W przeciwieństwie do innych narodowości, polscy artyści są na Zachodzie osadzeni dopiero od niedawna, są nieliczni, biedni i nie są popierani przez własną diaspore, która z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych, jest równie nieliczna jak oni, biedna i wyjątkowo wręcz niesolidarna. Dla kontrastu wystarczy zobaczyć, jak wielkie kariery porobili artyści żydowscy, których dawna zasiedloność na Zachodzie, duża liczba, bogactwo i solidarność ich diaspory, ich koneksje z siecią miejscowych decydentów kulturowych zapewniły im poważne i trwałe miejsce w kulturze zachodniej a niejednokrotnie porobiło z nich prawdziwe „gwiazdy”.

2) O ile sami polscy artyści na emigracji nie mogli sobie zapewnić własnej promocji i nie mogła (a często i nie chciała) im jej zapewnić polska diaspora, można było jeszcze liczyć na promocję ze strony krajów, w których się znaleźli. Otóż niestety, w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu lat, czyli w czasach zimnej wojny nikt nie chciał stawiać na Polaków. A wynikało to z politycznej nierentowności takiej inwestycji. Rzecz sama w sobie była możliwa. Niestuszny bowiem jest zarzut robiony komunistom, iż podporządkowywali

sztukę polityce. W czasie zimnej wojny demokracje zachodnie robiły to na równie wielką skalę, choć robiły to zreźniej, mniej widocznie i bez fizycznego przymusu. Otóż ani Polska komunistyczna ani jej emigranci-opozycjoniści nie przedstawiali sobą żadnej ważnej karty politycznej, na którą warto byłoby Zachodowi stawiać. W czasach zimnej wojny oczywiście nie należało popierać polskiej sztuki „reżimowej”, by nie ułatwiać przeciwnikowi penetracji kulturowej w swoim własnym obozie i nie użyczać mu trybuny przed swoją własną publicznością. Lecz w okresie zimnej wojny nie warto było również popierać polskiej sztuki emigracyjno-opozycyjnej. Nikt bowiem na Zachodzie nie wierzył, by mogła ona zadecydować o upadku wroga ideologicznego i spowodować załamanie się komunizmu. Zresztą owa polska emigracja artystyczna, mimo że często dość brutalnie zmuszona do opuszczenia Polski wcale nie chciała odgrywać na Zachodzie roli „szczekaczki” bez umiaru,ładu i składu wykrzykującej na swój kraj co im tylko sugerowała antykomunistyczna opinia publiczna na Zachodzie. Z minimalnymi wyjątkami nikt z polskiej emigracji artystycznej takiej roli grać nie chciał, skazując się tym samym na samotność i anonimowość. Dla wyrazistości powyższego twierdzenia wystarczy natomiast zobaczyć, jaką uwagę byli tu otoczeni bezpardonowi i wszyscy dysydenci, jak łatwo znajdowali wydawców, trybuny w czasopiśmie, deskach w teatrach lub fale w eterze. Właśnie dlatego, że po pierwsze byli z Rosji, to znaczy pochodzili z kraju, przed którym wszyscy truchleli tu ze strachu i że po wtóre byli agresywnie antykomunistyczni i od nich w ogromnym stopniu mogło zależeć czy komunizm się w końcu zaważy czy nie.

W sumie, tak jak znikomość polityczna i znikomość materialna Polski, tak i znikomość i umiarkowanie polityczne jej emigracji artystycznej zadecydowały (wśród wielu innych przyczyn „obiektywnych”) o tym, iż nikt z nich tak naprawdę nie zrobił „kariery” na Zachodzie. Sugerowanie, jak czyni to autor artykułu, iż wynika to z braku talentu polskich artystów i że organizatorce wystawy „Jesteśmy” dokonały pod tym względem złych wyborów merytorycznych pokazując właśnie artystów „słabych” wydaje mi się nieporozumieniem. W każdym razie zarzut pana Daszkiewicza jest daleki, oj, jakżeż daleki od doświadczeń, jakich sam doznałem w codziennym, 27-letnim kontakcie z zachodnią rzeczywistością i jej mechanizmami działania.

A paniom Elżbiecie Dzikowskiej i Wiesławie Wierchowskiej ucałowania rąk i podziękowania, bo choć jestem tylko promotorem sztuki, to od dawna już miałem ochotę z naciskiem i pewnym rozgoryczeniem przypomnieć wraz z polskimi artystami których tu spotykam: „My przecież też jesteście!”